

Tadeusz Biliński

Pieniądze i politycy

Palestra 41/1-2(469-470), 134-140

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Biliński

Pieniądze i politycy

Największy indyjski ośrodek konferencyjny w centrum New Delhi zamieniono w październiku na salę sądową. Środki bezpieczeństwa jakie podjęły władze były bezprecedensowe w historii współczesnych Indii. Oskarżonego przywieziono w opancerzonym aucie w asyście elitarnej jednostki antyterrorystycznej mającej jako jedyne zadanie ochronę wybitnych osobistości. Nic dziwnego, był nim Narasimha Rao, siedemdziesięcioletni weteran indyjskiej sceny politycznej, były minister spraw zagranicznych, do czerwca 1996 roku premier drugiego najludniejszego kraju świata.

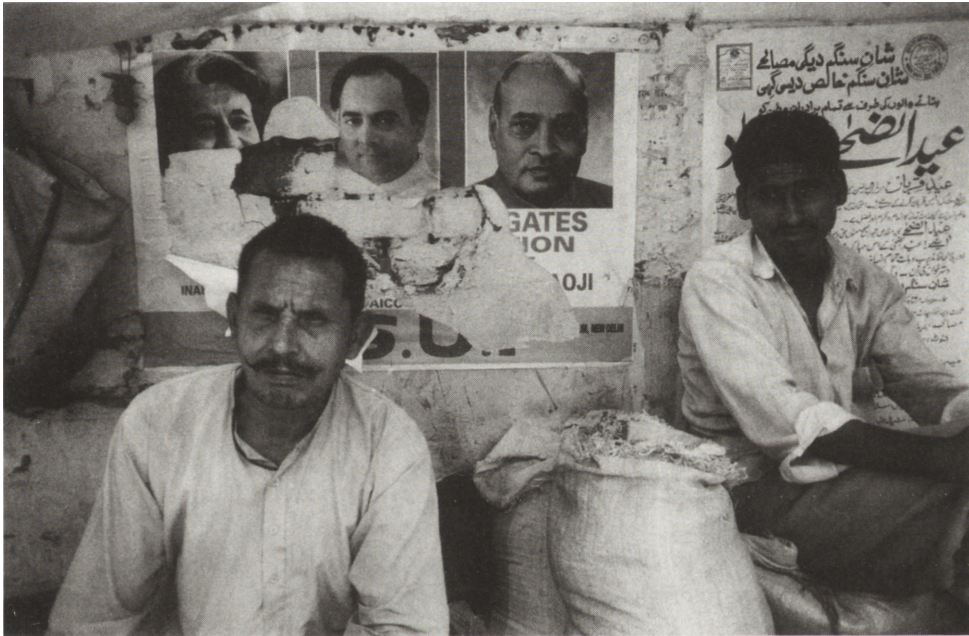
Narasimha Rao (Narasimha to półlew, półczłowiek indyjskiej mitologii), nie okazywał szczególnych emocji. Burza, w której epicentrum obecnie się znalazł, rozwijała się i rozrastała od dawna, chociaż powoli, więc zdążył się oswoić z myślą o ławie oskarżonych. W trakcie pierwszego posiedzenia sądu miał kamienną twarz. Patrzył przed siebie jak gdyby nic nie widząc. Czasem przymykał oczy i wydawało się, że odchodzi w przeszłość, może do czasu, kiedy wszystko się zaczęło?

Hawała

Kiedy był prawdziwy początek, trudno obecnie powiedzieć, tym bardziej że proces premiera i dwóch innych współoskarżonych dopiero się rozpoczął. Można by na przykład sięgnąć do wczesnych lat pięćdziesiątych, gdy ukształtowany został w Indiach system gospodarczy charakteryzujący się dużym udziałem sektora państwowego w gospodarce. Wokół gospodarki centralnie sterowanej wytworzyły się i rozrastały, jak nowotworowa tkanka, struktury biurokratyczne. Wkrótce zdominowały system gospodarczy do tego stopnia, że sami Hindusi zaczęli określać Indie, nie bez ironii, jako „licence raj” – królestwo licencji, bo w istocie na wszystko, na każdy prawie rodzaj działalności gospodarczej, potrzebna była zgoda władz. Im biznes był poważniejszy, tym decydent musiał być wyższej rangi. Stworzono system do tego stopnia kryminogenny, że termin „licence raj” zaczęto interpretować po nowemu jako „królestwo samowoli”. Nie rynek, podaż i popyt decydowały o inwestycjach, eksporcie, imporcie czy rodzaju towarów konsumpcyjnych dostępnych na rynku, ale urzędnicy, jak to zwykle w takich przypadkach bywa – „po uważaniu”.

System ten był niewątpliwie wygodny dla urzędników, częściowo dla polityków, najmniej zaś dla przedsiębiorców. Jak w każdym takiego typu układzie, wytworzyły się jednak odpowiednie szlaki, drogi, dojścia, kontakty i układy pozwalające żyć i dające życie innym. Ukształtowała się struktura korupcyjna z długim wianuszkiem patronów i klientów nawzajem się opłacających, bądź to gotówką, bądź to korzystnymi decyzjami. Dawało się żyć.

Pojawiały się wszakże problemy wymagające rozwiązania. Na przykład wymiana pieniędzy. Indyjska rupia była i pozostaje niewymienialna. „Cinkciarstwo” jest, jak w Peerelu, karalne. Przekazanie gotówki za granicę wymaga osobnego zezwolenia banku centralnego, to zaś podań, zaświadczeń, kwitów, no i naturalnie „załączników”. Znacznie prościej jest zatem pójść do pana, zwanego z indyjska „hawalawal-



Portrety przywódców: Indira, Rajiv i Narasimha Rao. Z frontu wieśniacy sprzedają ryż.

lah”, a więc po swojsku, cinkciarza. Nie byli to jednak gentlemen wystający pod bankami z nieśmiertelnym „czeńdź moni” na ustach, ale poważni przedsiębiorcy obracający nierzadko sumami milionów, nawet dziesiątków milionów dolarów. Załóżmy na przykład, że przedsiębiorca prywatny zarobił większą sumę czarnych, tj. nieopodatkowanych pieniędzy w rupiach i zdecydował się je przekazać do bezpiecznego banku poza Indiami. Czyli do Anglii, Szwajcarii a może na Kajmany. Udawał się wtedy do hawalamana. Ten zaś brał za telefon i w szyfrowanej rozmowie np.: „Ciocia prosiła, żebyś, drogi kuzynie, zasadził goździki na jej czterdziestu grządkach” informował rozmówcę we właściwym miejscu o poleceniu otwarcia konta.

Z czym jak z czym, ale z kuzynami nigdy nie ma w Indiach kłopotu. Przez taki prywatny, jednoosobowy bank można było swoją gotówkę sprowadzić z powrotem do kraju i w ogóle przeprowadzać wszelkie możliwe operacje finansowe.

Hawalamanów było i jest w Indiach niemało. Najbardziej wszakże znany to niejaki Surender Kumar Jain. Tytuł do sławy dała mu, trzeba to uczciwie powiedzieć, głupota. Raz, że swoje nielegalne transakcje zapisywał. Dwa, że kiepsko zapisy szyfrował. Trzy, że źle schował notatki. Skutek był taki, iż w wyniku przypadkowej rewizji związanej z zupełnie inną sprawą, stos nielegalnych informacji finansowych wypadł z kasy pancernej pana Jaina wprost w ręce policji. A razem z nimi wypadły zaszyfrowane nazwiska. Wśród nich było kilkudziesięciu znanych polityków, praktycznie z całego politycznego spektrum Indii. W tym kilkunastu ministrów i członków parlamentu z rządu i opozycji. Zrobił się z tego wielki polityczny skandal. Minister rolnictwa Balram Jakhar złożył dymisję, kiedy Centralne Biuro Śledcze, indyjski odpowiednik FBI, oskarżyło go o transakcje z S.K. Jainem, podobnie jak minister zasobów wodnych V.C. Shukla, Motilal Vohra, wówczas gubernator stanu Uttar Pradesh, Jaffer Sharief, minister kolejnictwa, Madhawrao Scindia, Kamal Nath i wielu innych. Był moment, że zmiany w gabinecie rządu centralnego następowały w takim tempie, iż brakowało chętnych do obsady zwalnianych stanowisk. W parlamencie wyglądało to podobnie. Z mandatu zrezygnował lider opozycji Lal Krishna Advani, charyzmatyczny polityk uznawany za jedyne naprawdę uczciwego, po tym jak CBI ogłosiło, że i jego zaszyfrowane inicjały znaleziono wśród notatek Jaina.

Wszakże zarzuty stawiane politykom nie dotyczyły nielegalnego przekazywania pieniędzy za granicę, ale korupcji polegającej na braniu pieniędzy od S.K. Jaina w zamian za różne „uprzejmości”, jak dostęp do kontraktów, licencji eksportowych, zamówień rządowych. Jain był bowiem nie tylko „bankierem”. Prowadził z powodzeniem działalność pośrednika w kontaktach między przedsiębiorcami i rządem.

Przez cały ten czas premier Narasimha Rao zachowywał stoicki spokój. Poświęcał jednego bliskiego współpracownika po drugim. Jedyne jego komentarzem było „Niechaj prawo znaczy prawo, bez względu na pozycję oskarżonego”. Wkrótce okazało się jednak, że maszyny prawa, raz puszczonej w ruch nie da się tak łatwo zatrzymać i że, jak toczący się walec, pochłaniać będzie kolejne ofiary, małe mróweczki nieopatrznie stające jej na drodze.

Nemesis

Paradoksalnie, to Narasimha Rao był twórcą swoich własnych kłopotów. W 1991 roku, po zamordowaniu premiera Rajiva Gandhiego przez samobójczynię z ugrupowania Tamiłskich Tygrysów, która opasana ładunkami wybuchowymi wręczając mu girlandę kwiatów wysadziła siebie i kilkanaście osób w powietrze, Narasimha Rao został premierem. Kongres Indyjski nie miał wówczas innego kandydata akceptowanego przez wszystkie frakcje tej organizacji. Uznano, że Rao, weteran licznych kongresowych walk, wielokrotny minister, osoba o znanych zdolnościach negoc-

jacyjnych, będzie doskonałym kandydatem tymczasowym. Nie precyzowano tylko do kiedy. Jak wiele innych tego rodzaju rozwiązań, prowizorka okazała się najtrwalsza. Wkrótce Człowiek-Lew uzyskał przydomek „the Survivor”. Nie bez powodu. Z najprzeróżniejszych opresji, wewnętrznych walk podjazdowych, manipulacji i zdrad wychodził zawsze obronną ręką. Mówiono, że jego siłą jest prokrastynacja. Odkładał decyzje, nie robił nic i sprawy z reguły same się rozwiązywały.

W jednym wszakże wypadku musiał podjąć działania. Problemem była gospodarka. Jak w przypadku innych krajów o systemie centralnego sterowania, gospodarka indyjska była w opłakanym stanie. W 1991 roku rząd centralny podjął decyzję o jej



Ponad ludzką miarę gigantyczny portret Arjun Singha, jednego z przywódców Kongresu. A. Singha był również oskarżonym w „hawali”.

liberalizacji i daleko idącej prywatyzacji. Zaczął się powolny, ale jednak napływ kapitału zagranicznego, dóbr, towarów, idei. System „licence raj” stał się trudniejszy dla biurokratów i polityków. Większą swobodę działania uzyskały media, w szczególności prasa oraz, co najważniejsze, uaktywniła się władza sądownicza, której znaczenie nagle wzrosło.

Jednocześnie zmniejszała się rola partii politycznych, podzielonych, skłóconych, w dużym stopniu skorumpowanych. W powszechnym odczuciu wśród szeregowych Hindusów termin „polityk” utożsamia się z obelgą. Zmniejszała się również rola Kongresu Indyjskiego, który pod rządami Narasimhy Rao nie tylko podzielił się na kilka frakcji wzajemnie się zwalczających, ale przegrał wybory do parlamentów stanowych, a latem 1996 roku do parlamentu w New Delhi. Nowo powołany rząd

koalicyjny oparł się co prawda na poparciu partii kongresowej w parlamencie, ale osobista pozycja byłego premiera uległa znacznemu osłabieniu.

Wtedy pojawił się w New Delhi niejaki Lakhubhai Pathak. Nazywają go również „chutney king”, bo jest jednym z większych producentów „chutney”, rodzaju ostrych indyjskich konfitur, w Wielkiej Brytanii. Przyjazd Pathaka stał się początkiem problemów Narasimhy.

Pan Pathak porusza się na wózku inwalidzkim, po przebyтым wylewie, ale pamięć ma wciąż dobrą. Poza tym wzbudza sympatię, ponieważ ukazuje sam siebie w charakterze ofiary pozbawionych skrupułów polityków. W połowie lat osiemdziesiątych Pathak spotkał się z jakimś Chandra Swamim, dziwną, tajemniczą, niezwykle wpływową postacią indyjskiej polityki i biznesu. Chandra Swami to sadhu – „święty mąż” – tantryk, który zgromadził wokół swego aśramu sporą grupę zwolenników. Chandra Swami powiedział Pathakowi, że jest interes do zrobienia: rząd indyjski poszukuje dostawcy większej ilości papieru i jeśli Pathak byłby zainteresowany, to on, Chandra Swami może mu ten kontrakt załatwić. Ale będzie to kosztować sto tysięcy dolarów dla „paru decydentów, których trzeba przekonać”. Lakhubhai Pathak się zgodził. Wszyscy Hindusi, nawet emigranci znali Chandrę Swamiego i wiedzieli, że jest on człowiekiem wpływowym. Podczas kolejnego spotkania w Nowym Jorku Pathak wręczył pieniądze. Wtedy właśnie w hotelowym korytarzu usłyszał, jak twierdzi, od Narasimhy Rao, który towarzyszył Chandrze Swamimu: „zajmiemy się twoją sprawą”. Rao był wtenczas ministrem spraw zagranicznych. Pathak jednak kontraktu nie dostał. Ani Swami, ani Narasimha Rao nie odpowiadali na jego listy.

W 1996 roku Lakhubhai Pathak przyleciał do Delhi i formalnie oskarżył przed sądem byłego premiera o wyłudzenie. Sprawę prowadziło CBI, które jak się wydaje, sugerowało Pathakowi, aby dał sobie spokój i wyjechał z Indii. „Król chutneyu” nie dał się ani zastraszyć ani przekonać. „Zostałem oszukany – mówił – przez oficjalnego przedstawiciela władz Indii. Poniosłem wielkie straty finansowe i moralne. Rodzina się ode mnie odsunęła. Sprawiedliwości musi stać się zadość”. Zeznania złożone przez Pathaka były pierwszym kamieniem, który poruszył lawinę oskarżeń wobec byłego premiera.

Gotówka w wannie

Po śmierci Rajiva Gandhiego w 1991 roku, ostatniego z dynastii Nehru, która od 1947 roku prawie nieprzerwanie rządziła Indiami, polityka indyjska przeszła znaczną metamorfozę. Zakończyła się dominacja jednej partii, kierowanej przez charyzmatycznego przywódcę. W parlamencie w New Delhi pojawili się przedstawiciele wielu małych, regionalnych partii. Ich przywódcy w większości nie mieli tej klasy politycznej, intelektualnej ani moralnej jaka cechowała twórców niepodległych Indii. Żadna z nich nie miała szans na samodzielne utworzenie rządu, ale jak się okazuje, nie miała nic przeciwko temu, by swoimi głosami pohandlować. W 1993 roku kupnem zainteresowany był Narasimha Rao, którego rząd przeżywał właśnie kłopoty

i stał przed realnym votum nieufności. Sprzedać zamierzało się natomiast niewielkie ugrupowanie Jharkhand Mukti Morcha (JMM) mające w parlamencie tylko cztery, ale za to kluczowe głosy. Pieniądze zdobyto od przemysłowców. Zajmował się tym, według aktu oskarżenia przygotowanego przez CBI, Satish Sharma, szef ministerstwa ropy naftowej. Przedstawiciele JMM otrzymali gotówkę w walizkach – było tego 33 miliony rupii, tj. z górą milion dolarów. Natychmiast zakupili mieszkania i pootwierali sobie wysokooprocentowane konta w bankach. N. Rao się to jednak opłaciło. Jego rząd przetrwał następne trzy lata.

Poza sprawą „króla chutneyu” i JMM na Narasimha Rao ciąży również inne poważne oskarżenie, tym razem kryminalno-politycznej natury. W Indiach znane jest jako „sprawa St. Kitts”. W 1990 roku były minister obrony w ówczesnym rządzie premiera Rajiva Gandhiego, V.P. Singh złożył dymisję oskarżając premiera o nadużycia przy podpisaniu kontraktu na zakup czterystu haubic szwedzkiej firmy Bofors. Singh przygotowywał się do nadchodzących wyborów, podczas których zamierzał ubiegać się o fotel premiera. Władze potrzebowały więc na gwalt jakiejś sprawy, o którą można by oskarżyć byłego ministra obrony. Ponownie sięgnięto po usługi „świętego męża”, który przygotował fałszywe dokumenty mające wskazywać, że syn V.P. Singha posiadał nielegalne konto bankowe na karaibskiej wyspie St. Kitts. Natomiast Narasimha Rao, według oskarżenia, wtenczas minister spraw zagranicznych, polecił konsulowi w ambasadzie Indii w Waszyngtonie, potwierdzenie ich prawdziwości. Sprawa miała krótkie nogi, ale V.P. Singhowi zaszkodziła. W 1991 roku dla jej zbadania powołano nawet Specjalną Grupę Śledczą w łonie CBI. Teraz wraca i, jak się wydaje, byłego premiera czeka jeszcze z tego powodu wiele bardzo przykrych chwil.

Jednak sprawa Narasimhy Rao to tylko czubek góry lodowej. Według powszechnych ocen korupcję polityków ocenia się w Indiach na 20 miliardów dolarów, przy rocznym deficycie budżetowym kraju rządu 3 miliardów. Powstaje logiczne pytanie: ile rocznych deficytów można by pokryć hamując nieco finansowe zapędy przedstawicieli społeczeństwa. Sprawa jest jednak chyba beznadziejna. Latem 1996 roku CBI przeprowadziło, pod nieobecność właściciela, rewizję w domu ministra telekomunikacji, Sukh Rama. Znalaziono gotówkę wartości 3 milionów dolarów w banknotach rupiowych. Jak potem relacjonowali policjanci prowadzący dochodzenie: „Pieniądze były wszędzie, w szafach, w walizkach, pudłach, nawet w wannie”. Pokój modlitwy, tzw. puja room, miejsce otaczane zazwyczaj szczególną czcią przez każdą hinduską rodzinę, wypełnione było rupiami po sufit. „Nie ma pewności do kogo modlił się Sukh Ram – oświadczył jeden z funkcjonariuszy CBI – do boga Ganesha czy do Mamony”.

Narastające lawinowo sprawy korupcyjne, w które zamieszani są najwyżsi funkcjonariusze państwa i jakże częsta nieudolność CBI, wynikająca nie tyle z niefachowości, co raczej z podatności na naciski ze szczytów władzy – CBI *de facto* podlega bezpośrednio premierowi, zmusiły sądowe struktury kraju do interwencji. W sytuacji ogólnego przyzwolenia na bezprawie i nieuczciwość, prawdziwą klasę wykazały dwie indyjskie instytucje demokratyczne: sądownictwo i media. Już

w 1994 roku Sąd Najwyższy polecił ówczesnemu szefowi CBI osobiste składanie sprawozdań o postępach śledztwa w sprawie hawali, w 1995 krytykował brak postępów w sprawie, a w styczniu następnego roku zakazał CBI traktowania kogokolwiek, „bez względu na jego miejsce w hierarchii władzy”, w szczególnie uprzywilejowany sposób. Nie mniejsze znaczenie ma w tych sprawach instytucja tzw. „public-interest litigation”. W gruncie rzeczy dwie największe sprawy, w ramach których na ławie oskarżonych zasiadł między innymi były premier, rozpoczęły się od złożenia doniesienia o przestępstwie przez osobę prywatną.

Rzecz jasna politykom się to nie podoba – „Imperium Kontratakuje”. W parlamencie podnoszą się głosy, że już najwyższy czas na obronę przed „sądowym zamachem stanu”. Politycy Kongresu Indyjskiego, którzy najbardziej ucierpieli w wyniku aktywizacji sądownictwa, żądali zwołania specjalnej sesji parlamentu dla określenia wyraźnego zakresu sądowych kompetencji. Propozycja nie uzyskała jak na razie akceptacji większości partii w parlamencie, niemniej należy oczekiwać prób wprowadzenia restrykcji. Władza ograniczona, w porównaniu z niekontrolowaną, ma przecież cierpkawy smak.